

**Gdzie się podzielałeś,
Buzzie Aldrinie?**

JOHAN HARSTAD

Gdzie się podziateś, Buzzie Aldrinie?

Przekład z języka norweskiego
Karolina Drozdowska

smak  słowa

Sopot 2019



*And never stop, go back to start,
and never say when I fall apart.*

„Vortex Surfer“ / Motorpsycho

First Band
on the *Moon*

1

Osoba, którą kochasz, składa się w 72,8% z wody, a nie padało już kilka tygodni. Jestem tu, w samym środku ogrodu, i mocno stąpam po ziemi. Pochyliłam się nad tulipanami, na dłoniach mam rękawice, na nogach – adidasy, a w rękach trzymam niewielki sekator, jest wczesny kwietniowy poranek tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku i zaczyna robić się cieplej, ostatnio zwróciłem na to uwagę, gdzieś coś się zaczyna dziać, poczułem to, gdy rano wysiadłem z auta, w szarym blasku świtu, w chwili, kiedy otwierałem bramę przynależącego do sklepu ogrodu, powietrze stało się bardziej miękkie, łagodniejsze, wreszcie mogłem zdjąć zimowe buciory i włożyć niebieskie adidasy. Stoję w ogrodzie na tyłach, nad pieczołowicie pielęgowanymi kwiatami, rosną na grządkach jeden przy drugim w swoich skrzynkach, mam wrażenie, że za chwilę cała ziemia się uniesie, spiętrzy zieloną falą, i odchyłam się w tył, przez ostatnie kilka dni było słonecznie, słońce świeciło ku mnie, wisząc wysoko na niebie, ale teraz gdzieś znad Morza Północnego napłynęły chmury, ciemne, niczym po pożarze Sellafield, i słońce co chwila się chowa, z początku tylko na kilka sekund, ale w końcu coraz rzadziej prześwituje zza cumulusów, odchyłam się w tył, zwracam twarz ku górze i mrużę oczy, bo słońce, gdy się znów przebije przez chmury, zaświeci jaskrawo. Czekam. Stoję tak tylko i czekam. A potem widzę, jak gdzieś nade mną, tysiąc, a może trzy tysiące metrów w górze, tworzy się i odrywa pierwsza kropla, spada ku mnie niczym pocisk, ja zaś stoję z twarzą zwróconą ku niebu, zaraz zacznie

padać, za kilka sekund lunie i będzie się zdawać, że już nigdy łać nie przestanie, zupełnie jakby gdzieś tam w przestworzach pękł jakiś balon, unoszę wzrok, leci ku mnie ta jedna jedyna kropla, jest na właściwym kursie, prędkość rośnie i pęd zmusza wodę do zmiany kształtu, pierwsza kropla spada, a ja stoję, jak stałem, aż czuję, że trafia mnie w sam środek czoła, eksploduje i rozpada się na mniejsze kropelki, te zaś lądują na mojej kurtce, kwiatkach pod mną, na moich butach i rękawicach. Spuszczam głowę. I dopiero wtedy zaczyna padać.

Jest wtorek. Bez wątpienia. Widać to po świetle dnia, auta za oknami będą sunąć cały dzień powoli, od niechcienia, ludzie jeżdżą w tę i z powrotem kierowani przyzwyczajeniem, a nie potrzebą. Wtorek. Najbardziej zbędny dzień tygodnia. Dzień, na który nikt niemal nie zwraca uwagi pośród wszystkich innych dni. Gdzieś czytałem, nie pamiętam już gdzie, że we wtorki zawiera się średnio o 34% mniej umów niż w inne dni tygodnia. I to w skali całego świata. Tak już jest. A z drugiej strony, we wtorki odbywa się zdecydowanie więcej niż w reszcie tygodnia pogrzebów. Tak się jakoś najwidoczniej składa i nie sposób tej tendencji przełamać.



Miałem przyjaciela.

Gdybym go nie miał, nie skończyłbym z kieszeniami pełnymi pieniędzy, o mały włos przejechany, nie uratowałbym człowieka z morza, nie byłbym wyrzucany z barów. Nie dzieliłyby mnie centymetry od skoku z wysokości tysiąca stu metrów, nie usiłowałbym zbudować łodzi i w końcu, co najważniejsze – nigdy bym nie zniknął.

Ale miałem przyjaciela.

Jørna.

Jørn grał w zespole.

A ja się zgodziłem. Minęło od tego już kilka tygodni. Zadał mi to pytanie pewnego wieczora, gdy siedzieliśmy w Storhaug u niego w domu. Jørn i Roar wybierali się tam ze swoim zespołem, Perkleivą, pod koniec lipca na Wyspy Owcze, miała im towarzyszyć inna norweska kapela, The Kulta Beats z Trondheim, mieli grać na tym czy innym festiwalu, dostali to zlecenie za pośrednictwem urzędu miasta Stavanger, z tego, co zrozumiałem, to Stavanger i Tórshavn były miastami partnerskimi, dlatego też urząd miasta chciał mieć swój udział w organizacji obchodów narodowego święta Wysp Owczych, Ólavsøka. Zaproszono także jakiś zespół z Danii, którego nazwy nigdy nie mogłem zapamiętać, i wszystkich tych ichnich farerskich artystów. Tyle się dowiedziałem. Mniej więcej. I że ja też mam jechać, pod pretekstem wykonywania zadań dźwiękowca. A tak naprawdę to Jørn chciał mnie ze sobą zabrać, wyciągnąć mnie z domu, pokazać mi jasne strony grania koncertów, bycia w zespole, chyba nigdy nie porzucił do końca marzenia, że będziemy mieć razem kapelę, że zostanę jego wokalistą. Tak strasznie chciał, żebym śpiewał. Ale ja trzymałem głowę na kłódkę. W oficjalnym wyjaśnieniu przedstawionym organizatorom chodziło natomiast o Clausa. Claus był producentem Perkleivy, ale on i jego partnerka spodziewali się dziecka, akcja porodowa mogła ruszyć w każdej chwili i dlatego Claus zrezygnował z wyjazdu, co było zresztą zupełnie zrozumiałe, bardziej go obchodziły ultradźwięki na badaniach USG niż dźwięki gitary, ja natomiast, owszem, miałem wakacje i, owszem, zawsze lubiłem podróżować, jak również nie, nie miałem żadnych innych planów.

A na dźwięku trochę się znałem.

Nie żebym miał w tym kierunku jakiegokolwiek wykształcenie albo pracował wcześniej z jakimś zespołem. Ale zawsze nieźle sobie radziłem z dźwiękiem. Z jego izolowaniem. Mogę siedzieć na so-

fie, słuchając płyty CD z odtwarzacza, i słyszeć każdy instrument osobno. Nie wiem, jak to się dzieje, ale umiem to robić. Gitara, perkusja, bas, wokół stają się w mojej głowie różnymi kolorami, słyszę, że powinno być więcej niebieskiego, że jest za dużo brązu, że ta słaba różowa poświata gdzieś w tle powinna zostać bardziej podkreślona, bo tak byłoby lepiej. Potrafiłbym zdiagnozować w twoim głosie najłżejszy nawet fałsz. Widziałem wszystkie odcinki *Kontrapunktu*. Mnie nie oszukasz.

Dałem sobie spokój z pracą w ogrodzie, gdy tylko się rozpadało, ale zanim zdążyłem podnieść wiaderko ze ściętymi kwiatami i raczej zbędną w tej sytuacji przyniesioną z zaplecza konewkę, woda, która wylała się nade mną z chmur, zdążyła już zupełnie mnie przemoczyć, i wszedłem do sklepu ogrodniczego, kapało ze mnie na kamienne płytki, wstawiłem tulipany do wazonu na jednym z dwóch wielkich, starych drewnianych stołów pośrodku pomieszczenia i udałem się do szatni, by zdjąć mokrą kurtkę. Ściągnąłem też spodnie, włożyłem jeden z kombinezonów pozostających na wyposażeniu sklepu, granatowy owerol z lśniącym nadrukiem na plecach przedstawiającym kwiat magnolii, jeszcze z czasów, gdy właściciel miał wizję, by wszyscy pracownicy ubierali się identycznie, tworząc w ten sposób spójną jednostkę serwisową, jak lubił to określać. Żywił ponadto przekonanie, że wzmocni to poczucie wspólnoty. Da nam świadomość, że pracujemy w jednej drużynie. Wspólnie stawiamy czoła wyzwaniom. Wspólnota, współpraca. Ale nic z tego nie wyszło, bo nikt nie chciał tych kombinezonów nosić, były w naszym odczuciu zbędne, byliśmy w końcu tylko niewielkim przedsiębiorstwem zatrudniającym garstkę pracowników. A owerole wciąż wisiły na jednej ścianie w szatni, cztery sztuki, prawie nienoszone, cztery lata później, z wciąż widocznymi kantami na rękawach i nogawkach. A my chodziliśmy we własnych ubraniach. Również nasz szef. Zawsze nosił koszule w kwiaty. Takie hawajskie. I dobry był

z niego człowiek, mimo że pojawiał się w pracy dopiero późnym przedpołudniem, bo lubił się wyspać.

Włożyłem więc pijący nieco w kroku i pachnący nowością owerol z magnolią, po czym wszedłem z powrotem do sklepu, usiadłem za ladą, włączyłem radio i sięgnąłem po terminarz, by sprawdzić, co mam do zrobienia w ten kwietniowy wtorek.

Radio.

Wiadomości.

Bomby spadały na Kosowo i Wojwodinę, NATO nie trafiało w to, w co trafić zamierzało, ja zaś odhaczyłem na liście pierwsze zadanie tego dnia, to jest wyjazd do domu opieki z kwiatami dla jednej z pacjentek. Zerknąłem na zegarek. Do przyścia pozostałych pracowników zostało jeszcze pół godziny, do otwarcia sklepu – trzy kwadransy. Ale zamówienie miało zostać dostarczone najszybciej, jak to możliwe, ja zaś nie miałem żadnych planów, zacząłem więc kompletować dwa bukiety z kwiatów, o które proszono, włożyłem je do skrzynki na owoce, w radiu grali Cardigans, nie znałem tej piosenki, ale próbowałem nucić melodię, zamykając na klucz drzwi do kantorka, trafiłem we właściwy ton, ale melodia mi uciekła, podszedłem więc do radia i je wyłączyłem, ostatni raz się rozejrzałem i, owszem, wyglądało tu w porządku, ładne rośliny, przyjemny zapach, miło tu było przebywać, a potem otworzyłem drzwi sklepu, wyszedłem, zamknąłem je i przekręciłem klucz w zamku, otworzyłem drzwi auta, wsiadłem, zamknąłem drzwi auta, odpaliłem silnik, po czym pojechałem do domu opieki, pokonując cztery zakręty.

Tak wyglądał niemal każdy dzień, komuś stąd posyłano kwiaty czy inne rośliny. I zawsze był to zły znak. Zaglądałem tu często, prawie co tydzień, to tutaj swoje ostatnie dni spędził mój dziadek i zawsze było tu niewiele kwiatów, chyba że ktoś miał umrzeć. Bo wtedy się miało powód. Wtedy opiekunowie zaczynali się kręcić

po pokoju, węszyli, wyczuwali rozkład, który już wżarł się w tapety, proponowali, żeby może trochę ten pokój upiększyć, „a co jakby tu wstawić trochę kwiatów, pani Taka A Taka, od razu by się weselej zrobiło, a poza tym to tak tu ciemno, może odsłonię trochę okna?” I już w chwili, gdy taki opiekun lub opiekunka to robili, chwyтали zasłony i energicznie je przesuwali, było jasne, że zaraz pojawią się rośliny, i postanowione, iż wkrótce, za parę godzin lub dni, młodszy ludzie staną w półkolu nad twoim łóżkiem wraz z aniołami i demonami, będą na ciebie patrzeć łagodnym lub pełnym złości wzrokiem, ze złożonymi dłońmi, w oczekiwaniu, aż znikniesz na dobre i już nigdy nie wrócisz.

Miałem ze sobą dwa bukiety, tulipany i białe lilie, ludzie przeważnie je lubią, bo chyba coś im przypominają, nie mam pojęcia co, ale mówili tak często, gdy wchodziłem z kwiatami do ich pokoi albo pomagałem pacjentom wstawiać je do wazonu, „jakie piękne kwiaty”, mówili, a potem napływały wspomnienia, zawsze te wspomnienia, mentalne albumy ze zdjęciami, których przejrzenie zajęłoby całe lata.

Pani Helgesen miała dostać kwiaty na swoje ostatnie dni.

Dni pani Helgesen były policzone.

Ktoś, kto prowadził księgi rachunkowe, stwierdził, że już wystarczy.

Tylko że nikt jej tego nie powiedział. Leżała w łóżku, wpatrując się w biały sufit.

– Kwiaty? Dla mnie? – zapytała, gdy zapukałem do drzwi, otworzyłem je i wszedłem do środka, usłyszawszy za nimi, że ktoś zdołał wydusić z siebie piskliwym głosem „proszę”.

– Oczywiście, że dla pani – odrzekłem.

– Czyli mam teraz umierać? – nie przemawiała przez nią rozpacz, a raczej lekkie zdziwienie.

– Broń Boże – odparłem. – Po prostu będzie miło, jak tu pani wstawimy coś zielonego.

Grałem w tej samej drużynie co wszyscy, zmieniałem barwy w środku meczu i stałem na bramce wszystkich składów. Brałem za wszystkich czerwone kartki i wracałem na ławkę. Znalazłem wazon pod umywalką, zacząłem układać w nim kwiaty.

– Podejść do mnie – powiedziała kobieta.

Podszedłem. Skłoniła mnie gestem, bym się nachylił.

– Przywożą bukiety tylko, jak ktoś ma umrzeć – szepnęła.

– Nie, nie sędzę – odpowiedziałem. – Wielu pensjonariuszy dostaje kwiaty.

– Ale nikt jeszcze nie zdołał przeżyć dłużej niż one.

– Kwiaty?

– Tak.

– Nie.

– Ale to śliczne bukiety.

– Owszem.

– No tak, złego słowa nie powiem, o czymś mi przypominają, sama nie wiem, chyba mieliśmy takie kwiaty w ogrodzie. Ech, nie, nie pamiętam. Ale są ładne. Naprawdę ładne.

– Tulipany i lilie długokwiatowe – powiedziałem. – Tak się nazywają.

– Przepiękne. I takie białe. Pan jest może ogrodnikiem?

– Zgadza się, jestem ogrodnikiem. Pracuję tu niedaleko.

Machnąłem ręką, pokazując, w którym kierunku jest sklep.

Zupełnie jakby kobieta mogła zobaczyć to, co było za ścianą, jakby wzrok starszych ludzi potrafił przenikać mury.

Kobieta zerknęła na kwiaty na stoliku, ustawiłem je trochę nieporządnie i pewnie zwróciła na to uwagę, były tanie, jedne z najtańszych, jakie mieliśmy, nie stały zazwyczaj zbyt długo, same pozbawiały się życia w ciągu kilku dni – a i to w najlepszym razie.

– Długo się będą trzymać? – wskazała na kwiaty, spróbowała chwycić jeden z listków, lecz nie sięgnęła do niego, podniosłem więc wazon i podałem jej, by mogła go wziąć w dłonie, dotykać

liści, kobieta wdychała ich zapach, rozległ się świst powietrza w jej nosie, będący jednocześnie świstem wszystkiego, co już minęło.

– Tak – odpowiedziałem. – Będą się długo trzymać.

– I dobrze – skinęła dłonią w stronę wazonu, gdy go odstawiałem, podniosłem się, by wyjść, a gdy zamykałem za sobą drzwi, ona wciąż leżała z ręką wyciągniętą ku stolikowi. – Dobrze.

Zaniósłem fakturę do pokoju socjalnego, wręczyłem ją jednej z pracujących w domu opieki starszych kobiet, podpisała dokument i podziękowała, oddała mi pokwitowanie, spytała, czy napiłbym się kawy, ale odmówiłem, wolałem już wracać, nie chciałem tu zostać.

– Bardzo miło, że pan wpadł – powiedziała kobieta. I zaraz rozejrzała się nerwowo po pokoju, jakby słowa, które chciała wypowiedzieć, upadły jej na podłogę i wylądowały przez przypadek w śmieciach. – Tylko że nam to wszystko na dłuższą metę wychodzi bardzo drogo. To znaczy my absolutnie nie uważamy, że każe pan sobie płacić więcej, niż należy, ale... cóż...

Czekałem, wiedziałem, do czego ona dąży, i właściwie mógłbym już sobie pójść, a mimo to nadal tam stałem.

– Cóż, tak to wygląda, że starsi ludzie umierają, i tak się złożyło, że wspólnie postanowiliśmy przejść na tańsze kwiaty, takie od... z... z supermarketu. Więc...

– Z Rimi? – zapytałem.

– Z Remy – poprawiła mnie, zażenowana, wpatrując się w blat stołu. – W dłuższej perspektywie wyjdzie nam dużo taniej, a oni jeszcze zaproponowali nam zniżkę, no i tak wyszło.

Po czym dodała, jakby ta myśl przyszła jej do głowy tu i teraz:

– Chcemy im tylko umilić trochę te ostatnie dni, rozumie pan z pewnością, że... cóż – jej twarz była tuż nad blatem stołu.

– Tak, oczywiście – odrzekłem. – Nikt już prawie nie robi zakupów w sklepie ogrodniczym.

– Nie? – zapytała niepewnie.

Wyglądała, jakby próbowała szukać właściwych słów.

– Nieważne – rzuciłem, odwróciłem się i wyszedłem, pojechałem z powrotem do sklepu, wszedłem do środka i usiadłem na krześle za kontuarem, włączyłem radio, w którym nie nadawali żadnych wiadomości, nikt nie umierał, grała tylko muzyka.

Ale było mi w życiu dobrze, czyż nie?

Ależ tak, było mi dobrze.

A nawet bardzo dobrze.

Miałem wszystko, czego mi było trzeba.

Byłem Mattiasem, dwudziestodwujętnym mężczyzną.

Byłem ogrodnikiem.

I kochałem swoją pracę.

Naprawdę bardzo ją lubiłem, często się zdarzało, że przychodziłem do pracy bardzo wcześnie, przed wszystkimi innymi, może nawet z godzinnym wyprzedzeniem, wychodziłem do ogrodu na tyłach sklepu, były mroźne poranki, z ust buchała mi para, siadałem tam na ławce, wsłuchując się w odgłosy przejeżdżających aut, zmęczonych silników, nieszczęśliwych ludzi w drodze do znieawidzonej pracy, gdzie musieli stawiać czoła ludziom, z którymi nigdy się nie dogadają, cenom, których nie będą w stanie przebić, ofertom, z którymi nie sposób konkurować, sprawom wymagającym umorzenia, pomysłom odrzuconym przez wzgląd na brak środków, planom, które nigdy nie doczekają się realizacji, które zostaną niczym drobne strupki na dłoniach, swędzące za każdym razem, gdy nowo poznani ludzie będą mówić o nowych pomysłach, ściskając dłonie z obietnicami jeszcze nowszych, nierealnych projektów.

Gdybym mógł spełnić jedno swoje marzenie, to chyba życzyłbym sobie, żeby nic się nie zmieniało. By wszystko zostało tak, jak jest, na wieczność. Pragnąłem przewidywalnych dni.

* * *

Siedziałem w ogrodzie, wciąż było wczesnie. Później, po jakiejś godzinie, pojawili się pozostali, było nas czworo, w tym dziewczyna w moim wieku, dość potężna, studiowała w Wyższej Szkole Rolniczej w Ås, to właściwie jedyne, co o niej wiedziałem, niewiele rozmawialiśmy o takich rzeczach, w ogóle niewiele rozmawialiśmy, sam nie wiem dlaczego, tak się po prostu jakoś złożyło. A jak już rozmawialiśmy, to zawsze o kwiatach, o tym, co jest do zrobienia, że trzeba pamiętać o podlewaniu roślin zasadzonych na grządce w rogu, że muszę przyciąć kilka krzewów, „a czy ona pamiętała o wieńcach na tamten pogrzeb? Czy pamiętała, by przygotować zamówiony bukiet i przypiąć do niego bilecik, Wracaj do Zdrowia, Czekamy na Ciebie, Wszystkiego Najlepszego, Gratulacje, Gratulacje, Serdeczne Gratulacje”, a ona, owszem, pamiętała, „a czy ja nie uważałem, że chryzantemy są takie piękne o tej porze roku? Zawsze są piękne”, odpowiadałem, i naprawdę mnie te rzeczy obchodziły, to tu było moje miejsce, tutaj, oto mój świat, moja praca, ogród za sklepem, rozciągający się aż do ronda oddzielającego szosę Hinna od drogi krajowej 44 na trasie wiodącej ku centrum Stavanger. Byłem zębatką w machinerii świata, nikomu nie wadziłem. Robiłem, co do mnie należy. Byłem grzecznym chłopcem.

A czego chciałem?

Chciałem właśnie tego.

Być sprawnie działającym trybikiem w aparaturze świata.

Postępować właściwie.

Nic więcej.

Czy to tchórzostwo?

Czyżby do tego się to sprowadzało?

Nie każdy chce kierować przedsiębiorstwem. Nie każdy chce być w krajowej czołówce sportowców, zostać członkiem zarządu, mieć w swoim zespole najlepszych prawników, nie każdy chce

budzić się rankiem z myślą, że nagłówki gazet przyniosą mu bezbrzeżną radość lub ogłoszą katastrofę.

Niektórzy chcą być sekretarką, która zostaje w recepcji, gdy zamykają się drzwi sali konferencyjnej, niektórzy chcą jeździć śmieciarką, również w ferie wielkanocne, niektórzy chcą robić sekcję piętnastoletniego chłopaka, który odbiera sobie życie w styczniowy poranek i zostaje znaleziony po tym, jak przeleżał tydzień w wodzie. Niektórzy nie chcą być w telewizji, być w radiu, być w gazetach. Niektórzy chcą oglądać filmy, a nie w nich grać.

Niektórzy chcą być publicznością.

Niektórzy chcą być zębatkami.

Nikt ich do tego nie zmusza, po prostu tak chcą.

Prosta matematyka.

Więc siedziałem. Tutaj. Tu, w ogrodzie, i nie chciałem być nigdzie indziej.

Jeśli tak na to patrzeć, to w sumie nic dziwnego, że znaleźliśmy z Jørnem wspólny język i trzymaliśmy się razem przez całe gimnazjum, a potem liceum. Odkryliśmy się nawzajem zupełnie przypadkowo, nagle staliśmy obok siebie na szkolnym podwórku, w czasie długiej przerwy, na której nic się nie działo. Stawałem w tamtym miejscu od dawna, na każdej niemal przerwie, stałem tam sobie, rozmyślałem o swoich sprawach i byłem z tego zadowolony. Ale pewnego dnia Jørn do mnie podszedł i o coś zapytał, nie pamiętam już, o co takiego. Dopiero później zrozumiałem, że zwrócił na mnie uwagę tylko dlatego, że Roar, jego najlepszy kumpel, był tamtego dnia chory. Jørn się pewnie nudził i stwierdził, że stojąc tam, wyglądam na kogoś, kto jest w porządku. Tak czy inaczej, zaczęliśmy rozmawiać i podobało mi się to, co do mnie mówił. Opowiadał mi tamtego dnia o Księżycu, o wszechświecie i wszystkich tych śmieciach krążących po orbicie dookoła Ziemi, tysiącach satelitów wykonujących konkretne zadania, staliśmy tak sobie, rozmawiając, niedużo o nas samych, raczej o innych

sprawach. I tak to się potem dalej ciągnęło, rozmawialiśmy na przerwach, poza tym nie spędzaliśmy razem zbyt wiele czasu, przynajmniej zanim nie poszliśmy do liceum. Jørnowi chodziło w życiu o coś zupełnie innego niż mnie, chciał piąć się w górę i brnąć przed siebie. Zdobyć część świata tak dużą, jak tylko zdoła. A ja go nie oceniałem. Tyle że nie byłem w stanie go zrozumieć. Po co mu to wszystko. Więc nigdy tak do końca się nie dogadywaliśmy. W sprawie Buzza Aldrina też nie. Od dziecka byłem zafascynowany astronautami, przeczytałem na ich temat stopy książek, wszystko, co wpadło mi w ręce, studiowałem materiały o kosmosie, wyprawach na Księżyc w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, wiedziałem wszystko o programie Apollo i wciąż jestem w stanie szczegółowo opowiedzieć o poszczególnych fazach startu, wchodzenia w orbitę ziemską, o kątach i liczbach, jak okrążyć Księżyc i wrócić, i o tym, dlaczego traci się kontakt z Ziemią za każdym razem, gdy statek kosmiczny znika po drugiej stronie tego wielkiego, wiszącego na niebie kręgu sera. Mógłbym opowiedzieć ci wszystko o Aldrinie, drugim człowieku na Księżycu, i o tym, co myślała sobie jego żona, Joan Archer, widząc w telewizji swojego męża chodzącego po powierzchni satelity. Historię Buzza Aldrina trzeba było wyczytać pomiędzy liniami tekstu opowiadającego o Neilu Armstrongu i innych wielkich tego świata, była to opowieść ujęta w nawiasy. Ojciec Aldrina przyjaźnił się z pionierami lotnictwa, Orvillem Wrightem, pierwszym człowiekiem w powietrzu, oraz Charlesem Lindberghiem, który w roku dwudziestym siódmym przeleciał solo nad Atlantykiem, podróż z Nowego Jorku do Paryża zajęła mu niemal półtorej doby. Aldrin zaś uczęszczał do West Point, został majorem lotnictwa, wykonał sześćdziesiąt sześć lotów bojowych nad Koreą i zestrzelił dwa samoloty typu MiG, po czym postanowił, że chciałby latać jeszcze wyżej. Został zakwalifikowany do grupy astronautów NASA w sześćdziesiątym trzecim, a gdy posłano w kosmos dwunastą i ostatnią kapsułę programu

Gemini, to on w niej siedział, wystrzelony z ziemskiej atmosfery w wielką czarną nicość, ba, odważył się nawet z tej kapsuły wyjść, unosił się w kosmosie przez pięć i pół godziny, udowadniając, że człowiek jest w stanie działać efektywnie w próżni.

A potem został zakwalifikowany do programu Apollo.

Wystrzelono dziesięć pierwszych rakiet, a Buzz Aldrin czekał.

Buzz Aldrin trenował.

Buzz Aldrin się przygotowywał.

Buzz Aldrin raz po raz przechodził przez każdy etap procedury.

Buzz Aldrin dostał stanowisko pilota lądownika księżycowego, modułu LM, który miał zostać odłączony od modułu dowodzenia, okrążającego Księżyc pod kontrolą Michaela Collinsa w czasie, gdy Aldrin i dowódca misji Neil Armstrong mieli polecieć LM-em na powierzchnię Księżyca, wyjść przez właz, zatknąć flagę na Srebrnym Globie i zadzwonić do domu.

Trzej astronauty czekali w napięciu, a potem Apollo 10 zniżył się do wysokości piętnastu tysięcy metrów nad Księżycem i prawie wylądował, i dla wszystkich stało się jasne, że jedenasta z kolei misja wyniesie człowieka na jego powierzchnię. Pisano o tym artykuły. Były wywiady. Jeszcze więcej przygotowań. Zbliżał się dzień prawdy.

Szesnasty lipca sześćdziesiątego dziewiątego roku. Obroty ze sprzedaży lodów okazały się tego lata wyższe niż dotacje dla NASA.

Gdzie byłeś tego dnia, dokładnie dziewięćdziesiąt siedem lat po narodzinach Roalda Amundsena, pięćdziesiąt jeden lat po tym, jak ostatni car został zgładzony przez bolszewików? Gdzie byłeś o godzinie 14:32 czasu norweskiego, gdy rakieta nośna Saturn V odpaliła silniki, wynosząc Apollo 11 z Aldrinem na pokładzie w kosmiczną przestrzeń, gdzie byłeś o 14:33, kiedy rakieta zwiększyła prędkość do jedenastu kilometrów na sekundę, a tętno Aldrina nie przekraczało osiemdziesięciu ośmiu uderzeń na minutę?

Załoga miała ze sobą nawet radziecki bagaż. Medaliony upamiętniające zmarłych kosmonautów, Jurija Gagarina i Władimira Komarowa. Armstrong zabrał taśmę z nagraniem dźwięków thereminu, uwielbianego przez jego żonę. Aldrin zaś – fotografie swoich dzieci i złotą gałązkę oliwną, którą miał oddać po powrocie.

Gdzie byłeś dwudziestego lipca roku sześćdziesiątego dziewiątego, o godzinie 21:17:42 czasu norweskiego, kiedy człowiek po raz pierwszy wylądował na Księżycu?

Przed ekranami telewizorów siedziało wtedy pięćset milionów ludzi. Jeszcze więcej przed radioodbiornikami.

Ja byłem między nogami swojej matki.

Gdzie byłeś, kiedy drugi z kolei człowiek odważył się wysiąść z lądownika Eagle na Morzu Spokoju, o godzinie 4:15?

Może już dawno wyłączyłeś telewizor? Poszedłeś się położyć?

Jeśli tak, to przegapiłeś pierwszy krok Buzza Aldrina na Księżycu.

Jego buty zapadły się na trzy milimetry w księżycowy pył, ja zaś leżałem na zimnym stole, nie mając o niczym pojęcia. Ze wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli, Buzz Aldrin jako drugi postawił stopę na Księżycu, dwudziestego pierwszego lipca sześćdziesiątego dziewiątego, a jego dzieci oglądały w telewizji trzysta osiemdziesiąt tysięcy kilometrów dalej swojego tatę, gdy, ubrany w kosmiczny skafander, próbował opisać to, co widzi.

Magnificent. Magnificent desolation, powiedział Aldrin. Wspaniałe pustkowia. Być może najpiękniejszy na świecie opis krajobrazu.

Ruszył przed siebie po ziarnistej powierzchni.

Wyjaśniał, jakie to uczucie poruszać się na Księżycu.

Fotografował krajobraz, fotografował Armstronga.

Zbierał próbki skał.
Antarktyda Wszechświata.
Buzz Aldrin.

Flaga została zatknięta. Prezydent Nixon zadzwonił z Gabinetu Ovalnego, mówiąc, że niebo stało się częścią świata człowieka i że zainspiruje to nas wszystkich do podwojenia wysiłków w dążeniu do pokoju i harmonii na Ziemi, i że ta krótka chwila zjednoczyła wszystkich ludzi świata. A potem odłożył słuchawkę i kazał zintensyfikować bombardowania północnego Wietnamu. Michael Collins w regularnych odstępach czasu znikał i wyłaniał się zza ciemnej strony Księżyca, żona Aldrina zapytała nieśmiało, czy wolno by jej było w domu odpalić fajerwerki, Armstrong i Aldrin usłyszeli, że Thor Heyerdahl musiał zrezygnować z pomysłu pokonania Atlantyku łodzią z papirusu, Aldrin powiedział w końcu *Okay, adios amigo*, po czym wdrapał się z powrotem do lądownika za Armstrongiem. Zdjęli w środku skafandry, a księżycowy pył pachniał jak wilgotny popiół i proch strzelniczy, zasłonili okna i przespali się kilka godzin, po czym odpalili silniki, bojąc się, że te nie zadziałają, mieli tylko jedną próbę, jedną jedyną możliwość, a gdyby coś poszło nie tak, ugrzęźliby tam na dobre, ale wszystko zadziało jak w zegarku, oderwali się od powierzchni i polecieli w górę, połączyli z krążącym po orbicie Collinsem, przepełzli do modułu dowodzenia i odłączyli lądownik, patrzyli, jak od nich odlatuje i znika na zawsze, humory wszystkim dopisywały, w sumie to można by było sobie pogwizdać, tyle że w takiej atmosferze gwizdać się nie da, więc wyobrażam sobie, że panowała między nimi cisza, chociaż wiem, że to nieprawda, bo było jeszcze tyle do zrobienia, jeszcze tyle rzeczy, których trzeba było dopilnować, w dole na Ziemi czekały na nich żony, dzieci odrzucające głowy w tył i wypatrujące ojców na niebie, a oni w końcu powrócili, wylądowali z głośnym pluśnięciem na Oceanie Spokojnym dwudziestego czwartego

lipca sześćdziesiątego dziewiątego, zostali przechwyceni przez pługwonurków, Aldrin ostatni dał się wciągnąć do śmigłowca, najpierw pomógł dwóm kolegom, posiedział kilka minut w na poły spalonych resztkach kosmicznego pojazdu, zupełnie sam, na środku Pacyfiku, po czym też został wyłowiony i odstawiony na lotniskowiec, gdzie czekał prezydent Nixon i tygodnie kwarentanny, potem zaś ruszyło świętowanie, wybuchła radość na całym świecie, załoga zaczęła na zlecenie NASA jeździć po całym globie, astronauta i ich żony byli oklaskiwani przez tysiące ludzi, odbierali klucze do miast, trafili również do Norwegii, gdzie zjedli lunch z królem Olavem, nawet mam gdzieś zdjęcie, spotkanie wygląda na miłe, ale jeśli się dokładniej przyjrzeć, jeśli zbliżyć szkło powiększające do ziarnistej fotografii, czy nie da się przypadkiem zauważyć w oczach Aldrina śladu niepokoju? Wzbierającego lęku?

Z Jørnem było zupełnie inaczej. „Gdybyś miał być którymś z członków załogi Apollo 11, to którym?”, zapytałem go pewnego wieczora, potem dość często go o to pytałem, Jørn zaś uniósł brwi i spojrzał na mnie, zupełnie jakby w życiu nie słyszał głupszego pytania, i odpowiedział: „Neilem Armstrongiem”.

– Aldrin dowodził księżycowym lądownikiem, był kapitanem okrętu – zaprotestowałem.

– Ale to Armstrong stanął na Księżycu pierwszy, prawda?

– No tak.

– To Armstronga się pamięta, nie? Mały krok dla człowieka i tak dalej.

– Tylko że Aldrin był pod wieloma względami bardziej doświadczonym pilotem.

– No i co z tego? Nie był pierwszy. Armstrong został nowym Kolumbem, nie? To on parł do przodu, nie dał się niczemu powstrzymać, postanowił wylądować na tym Księżycu za wszelką cenę.

– Bez Aldrina by mu się nie udało. Pamiętaj, że on nawet zaprojektował część sprzętu, z którego potem korzystano na pokładzie.

– Ale mimo wszystko. A tak w ogóle, jak możesz być pewien, że oni w ogóle byli na tym Księżycu? Czemu nagrania miały taką słabą jakość? Jeśli mam być szczery, to coś mi się wydaje, że nagrali to wszystko w jakimś kalifornijskim studiu. Że cała załoga była na liście wynagrodzeń Warner Bros. To by też wyjaśniało, skąd te późniejsze problemy Aldrina. Nie mógł żyć z myślą, że oszukał cały świat.

– Chyba masz nie po kolei w głowie!

– A ty jesteś taki pewien, że tam byli?

– Boże drogi, no pewnie. Oczywiście, że byli na Księżycu, czemu niby miałyby być inaczej?

– A może po prostu udawali, żeby oszukać Rosjan, wymusić zwiększenie budżetu na zbrojenia, cholera wie.

– Bądź poważny!

– A pomyśl, co jeśli w całej tej historii astronomiczne są tylko pieniądze – bo na kosmicznych podróżach nieźle można zarobić, nie?

Tak sobie rozmawialiśmy, wieczna dyskusja krążyła wokół nas po orbicie.

Nigdy nie doszliśmy do porozumienia.

A może powinienem robić coś innego?

Czyżby brakowało mi ambicji?

Ależ skąd, miałem ją przecież.

Marzyłem o tym samym co ty. Ja też chciałem podróżować, mieć pracę, która będzie moją pasją, ja także chciałem zobaczyć Pragę, pomieszkać rok w Gwatemali, pomóc rolnikom w zbiorach, by uciszyć choć trochę własne wyrzuty sumienia, ratować lasy deszczowe, zmywać rozlaną ropę z plaż, ja też chciałem, by do Stortingu weszła właśnie ta, a nie ta m ta partia. Oddawałem

swój głos. Ja też chciałem pracować na rzecz tego, by ludziom było dobrze. Ja też chciałem być użyteczny.

Ale nie chciałem nikomu zawadzać. Zawadzać tym, którzy chcą stać tam z przodu, widoczni dla wszystkich, nie myślałem sobie o nich nic złego, chwala tym, którzy mają odwagę, których wysiłki są widoczne, którzy ratują linie lotnicze przed bankructwem, nie boją się zwolnić tysiąca ludzi i odbierać w nocy telefonów z pogroźkami, chwala tym, którzy przejmują dowodzenie w chwili, gdy nikt inny nie ma na to ochoty.

Ale chwala też zębátkom. Nie są mniej ważne, tylko mniej widoczne. Nie miałem potrzeby bycia dostrzeganym, nie chciałem, żebyś mi powtarzał, że jestem zdolny i świetnie sobie radzę. Bo sam doskonale wiedziałem, kiedy tak było.

Byłem tym chłopakiem, z którym chodziłeś do podstawówki, do gimnazjum i liceum, tym, którego imienia nigdy nie możesz sobie przypomnieć, gdy wyciągasz zakurzone szkolne zdjęcia, chcąc pokazać dziewczynie czy chłopakowi, jak kiedyś wyglądałeś. Byłem chłopcem, który siedział niemal na samym środku klasy, drugie biurko od ściany, tym, który nigdy nie zapominał stroju na wuef, zawsze był przygotowany do testów, chłopcem, który nie przeszkadzał na lekcjach, odpowiadał na zadawane mu pytania, nigdy nie żądał, by w przedstawieniach szkolnych przydzielano mu rozbudowane role, nie startował w wyborach do rady uczniowskiej, samorządu klasowego ani komitetu maturzystów. Byłem chłopakiem, z którym chodzi się do jednej klasy przez pół roku, zanim zaczyna się pamiętać jego imię. Tym, za którym się nie tęskni, gdy odchodzi ze szkoły i przenosi się w inne miejsce, gdy nie przychodzi na imprezę, chłopakiem, który stoi na środku klubowego parkietu, próbując klaskaniem skłonić zespół do zagrania na bis, lecz którego nikt nie słucha, tym, który twoim zdaniem ma najnudniejsze życie na świecie, albo wręcz nie ma

żadnego życia. Tym, o którym po latach słyszysz, że kogoś sobie znalazł, i zarówno ty, jak i twoi znajomi nie posiadacie się ze zdumienia. „On? A, on? Hę? Naprawdę...? No cóż. Skoro jemu się udało, to dla każdego jest nadzieja”.

Pamiętasz mnie?

Widzisz mnie teraz przed sobą?

Wyróżniała mnie cecha najgorsza ze wszystkich. Byłem zwyczajny.

Byłem niemal niewidzialny, prawda?

A jednocześnie byłem być może jednym z najszcześliwszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałeś.

W końcu zaczęli przychodzić, jeden po drugim, pozostali pracownicy, nie za wiele ze sobą rozmawiali, było na to jeszcze za wcześnie, chciało im się spać, dopiero co wstali, ich wyrazy twarzy były jeszcze w domu i miały do nas dotrzeć dopiero w porze lunchu, rozeszliśmy się po lokalu, zaczęliśmy przygotowywać wieńce, wiązanki, ruszyliśmy do roboty w ogrodzie na tyłach.

Krótko przed południem załadowałem furgonetkę, pojechałem do miasta, brnąłem przez listę dostaw, większość wieńców zamówiono z myślą o pogrzebach mających się odbyć pod koniec dnia, w różnych dzielnicach miasta powiewały opuszczone do połowy masztu flagi, otrzepywano kurz z czarnych garniturów, a krewni mający wygłosić przemowy ściskali w rękach pogniecione kartki z wyblakłym tekstem, siedzieli przy kuchennych stołach, na skrzyżniętych krzesłach, zerkali na zegarki, czekali, by móc w końcu pojechać, mieć to już za sobą, ostatnie pożegnanie. W furgonetce miałem też bukiety opatrzone bilecikami z odręcznie spisanim pozdrowieniem, „Powodzenia w nowej pracy”, „Wszystkiego najlepszego z okazji 60. Urodzin”, „Szybkiego powrotu do zdrowia”, „Kocham Cię”, zazwyczaj nie trzeba było nawet ich czytać, bo kiedy tylko adresat otwierał drzwi, zaraz było widać, jaki to rodzaj bu-

kietu, witały mnie ciemne kręgi pod oczami ludzi w znoszonych szlafrokach albo radosne dziewczęta podekscytowane pierwszym dniem w firmie, w której wreszcie dostały pracę, przekonane, że życie jest piękne. Przy jednej okazji zostałem nawet zaproszony na kawę, mimo że tym razem przeczytałem bilecik i wiedziałem, iż chodzi o kondolencje, wszedłem do domu, a w salonie siedziała cała rodzina, pochylone głowy w półkolu, ja zaś zdjąłem buty i ruszyłem za kobietą, która mnie wpuściła, najpewniej matką, pociągnęła nosem i wytarła go przedramieniem, podchodząc mechanicznie do półkola, stałem trochę z tyłu, patrzyłem na nich, siedzieli wokół stołu z maleńką trumienką, unosiło się nad nimi widmo śmierci łóżeczkowej, a ja dostałem kawę, nie odzywałem się, piłem gorący napój, a wszystkie moje słowa zostały pożarte przez jakieś pasożyty, i nie było po nich śladu, stałem w samych skarpetkach u rodziny, która właśnie straciła swoje dziecko, ojciec wstał, był ode mnie chyba o kilka lat młodszy, podszedł do mnie i lekko mnie uściskał, a w jego ślad poszli wszyscy krewni, wstali jak na komendę, poczępali do mnie i zostałem – ja, chłopak od kwiatów – uściskany po kolei przez jakąś dziesiątkę nieznanymi mi ludźmi, zaciskali palce na mojej kurtce, próbując wnikać w tkaninę, a gdy po kilku minutach wyszedłem, nikt się za mną nie obejrzał, zamknąłem tylko ostrożnie drzwi i wsiałem do auta, z mokrymi plamami na kurtce, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Od tego dnia zawsze grzecznie odmawiałem, gdy ktoś zapraszał mnie do środka, zostawałem na progu. Podziękowałem, gdy dwudziesto- jednoletnia dziewczyna w samej bieliźnie odbierała kwiaty od ojca, bo właśnie dostała nowe mieszkanie w Våländ i chciała mieć towarzystwo, była taka szczęśliwa, wszystko jej się tak dobrze układało, ale ja zostałem na progu, nie miałem tam czego szukać, p o r z u ć - cie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie.

Wróciłem do sklepu ogrodniczego w Hinna po jakichś dwóch czy trzech godzinach, wciąż strasznie lało, wbiegłem do środka,

otrząsnąłem się i opadłem na krzesło. Za kontuarem siedział Karsten, nasz szef, miał na sobie skórzany fartuch i przycinał róże. Nie unosząc wzroku, powiedział:

– Dobrze, że zaczęło teraz padać.

– Może i tak.

– Miejmy nadzieję, że pogoda się utrzyma.

– Taka deszczowa?

– Tak, mieliśmy w ogrodzie tak sucho, każda kropla wody się przyda. Woda i ciepło działają razem cuda.

Hawaje. Tego, zdaje się, chciał. Klimatu tropikalnego. Club Tropicaliana. Pewnie marzył, byśmy musieli w drzwiach do ogrodu montować moskitiery.

Nowe pytanie padło, zanim zdążyłem coś powiedzieć:

– Dużo miałeś dzisiaj dostaw?

Opowiedziałem o wszystkich miejscach, które odwiedziłem, o zamówieniach i o tym, że pobliski dom opieki znalazł inne rozwiązanie i nie chce już naszych usług. Krzesło zaskrzypiało, szef odłożył kwiaty i wbił wzrok w kontuar.

– No tak.

– Tak?

Zapadła cisza. Wiadomości w radiu. Serbia płonęła.

– Cóż... Nie idzie zbyt dobrze.

– W Serbii?

– W naszym sklepie.

– To tylko ten wtorek – powiedziałem.

– Co?

– Wtorek, we wtorki prawie nic się nie dzieje.

– Sam nie wiem, Mattias. – Szef miał na sobie błękitną koszulę w palmy. Zwisające liście, ciężkie od orzechów kokosowych. – Nie idzie nam tu zbyt dobrze. – Podniósł kwiaty, wrócił do pracy, a ja wszedłem do kantorka, naszego pokoju socjalnego, nastawiłem kawę, siedziałem, słuchając, jak kapie filtrowana przez papier

woda, w końcu cała woda przeleciała, a maszyna zaczęła się krztusić, ale szybko zamilkła i kawa była gotowa. Wyłączyłem ekspres, opróżniłem termos, był prawie pełen kawy parzonej wcześniej, napełniłem go na nowo. Usiadłem na krześle, czekałem, aż zadzwoni telefon, aż zadzwoni Helle. Zazwyczaj robiła to o tej porze. Może było jeszcze trochę za wcześnie. Zerknąłem na zegarek. Kwadrans po drugiej. No tak, jeszcze kilka chwil.



Rok osiemdziesiąty szósty. Helle. Jesień osiemdziesiąt sześć, muszę o niej opowiedzieć, o najchłodniejszej jesieni, jaką pamiętam, miałem siedemnaście lat, tego roku nikt nie jest w stanie zapomnieć, mimo że ja już nie pamiętam kolejności wydarzeń, ale był to rok, w którym zamordowano Olofa Palmego, strzelono do niego w biały dzień, na Sveavägen, w Sztokholmie, i już następnego poranka chodnik był usłany bukietami, morze kwiatów zalało ulice, a morderca biegł w górę schodów, stromych schodów, o tych schodach wiemy wszystko, pamiętamy, ile miały stopni, Palmego zaś zastrzelono – najprawdopodobniej, ale nie na pewno – z broni kaliber czterdzieci pięć, Christer Pettersson jest mordercą albo nim nie jest, ale nie może uratować siedmiorga astronautów w wahadłowcu Challenger, który eksploduje po siedemdziesięciu trzech sekundach, na żywo na wszystkich kanałach, na wszystkich taśmach Memorex, i dopiero po roku okazuje się, że załoga nie zginęła na skutek tej eksplozji, że żyła jeszcze przez trzy minuty i czterdzieści sekund, zanim kapsuła uderzyła w powierzchnię oceanu u wybrzeży Florydy z prędkością dwustu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a może wszyscy umarli z braku tlenu podczas spadania, podobno otworzyli jedną z butli tlenowych na pokładzie, ale wszyscy siedmioro zostali odnalezieni przypięci do swoich siedzeń, z otwartymi szeroko oczyma, program kosmiczny zamiera, Szwecja chowa swojego premiera, a w Czarnobylu eks-

ploduje reaktor numer cztery, nikt w Związku Radzieckim niczego nie widział ani o niczym nie słyszał, lecz Szwedzi, szukając morderców, odkrywają ogromne ilości unoszących się w powietrzu radioaktywnych odpadów, bez zbędnych ceregieli ewakuuje się ludzi, zarzyna krowy, wypala lasy, ale świat się od tego nie kończy, bo Oliver Stone kończy właśnie prace nad *Plutonem* i wkrótce cały świat widzi, jak naprawdę wyglądała wojna w Wietnamie, a w tym czasie Tom Cruise siedzi w lotniskowym barze pod koniec *Top Gun* w kinach całego świata, właśnie stracił nawigatora, ale zaraz wejdzie Kelly McGills, usiądzie obok niego i powie, że wszyscy robią błędy, że trzeba się na nich uczyć i żyć dalej, Tom Cruise będzie wiedział, że jego nawigator nie żyje, że ktoś zabił szwedzkiego premiera i wbiegł po schodach na Sveavägen oraz że Challenger i Czarnobyl eksplodowały i nie ma już raczej szans na podróż w kosmos, Kelly McGills zaś powie *Am I too late? Have you already left?* I wtedy zacisną się gardła na całym świecie, bo jest rok osiemdziesiąty szósty i nic nie idzie jak trzeba, mimo że Maradona wygrywa Mistrzostwa Świata w piłce nożnej i wszyscy go kochają, świat trzeszczy w posadach i nadal nie odnaleziono trzydziestu ludzi z platformy Alexander Kielland, mimo że minęły trzy lata, odkąd została odwrócona i potem zatopiona, pogrzebana w wodach Nedstrandfjorden, i ma się wrażenie, jakby się piło herbatę na Saharze, z filiżanek pełnych piasku.

Ale gdzieś w Stavanger, w samym środku lat osiemdziesiątych, w roku osiemdziesiątym szóstym, jest jednak coś, co idzie jak trzeba. Pośród całego tego zamieszania.

Helle.

Chodziłem do liceum Hetland w Stavanger, był pierwszy dzień zajęć w drugiej klasie i nadal nikt prawie nie wiedział, kim jestem, prawie nikt w klasie mnie nie znał, zdążyli o mnie zapomnieć przez wakacje i to mi odpowiadało, chciałem tylko siedzieć na

środku klasy, z nimi wszystkimi dookoła, przez nich otoczony. Lecz mimo to miałem Jørna, Jørn zaś miał Roara, i nawet jeśli nie byłem najlepszym przyjacielem żadnego z nich, to miałem z nimi w tamtym roku kontakt. Z Jørnem i Roarem.

Oraz z Helle.

Trafiła do naszej klasy w drugim roku nauki, pewnego chłodnego, mokrego sierpniowego ranka, trzeciego dnia zajęć po wakacjach, wszedłem właśnie do sali, postawiłem plecak przy drzwiach, zaczęła się długa przerwa i chciałem tylko zostawić plecak, wyjść na dwór, stanąć pod daszkiem z całą resztą, wykorzystać ostatnie minuty długiej przerwy przed kolejnymi zajęciami, potem miał być norweski, pierwsza lekcja norweskiego w drugiej klasie, jesienią osiemdziesiąt sześć. Wiedzieliśmy, że dojdą jacyś nowi uczniowie, że kilkoro z nas odeszło ze szkoły, uczniowie, z którymi nikt nie rozmawiał, ci, co to zawsze trzymali się na uboczu i nie mogli dostosować, nie umieli się odnaleźć, ci, których nikt nie przekonywał, by jednak zostali, bo część z nich zawsze przecież odchodziła, opuszczali szkolne podwórze ostatniego dnia przed wakacjami, myśląc sobie, że już nigdy tutaj nie wrócę, i nikt się za nimi nie oglądał, nikt nie zwracał na nich uwagi, wychodzili za bramę z ciężkimi plecakami, albo może było im bardzo lekko, trudno powiedzieć. Kilkoro z nas odeszło i pojawiło się kilkoro nowych uczniów, gotowych, by zająć zwolnione krzesła.

Helle.

Helle pojawiła się, by zająć wolne krzesło, zająć sobą całą salę, wypełnić cały świat.

Ale ja o tym nie wiedziałem. Odstawiłem plecak, wyprostowałem się, odwróciłem i moje spojrzenie padło na nią, widziałem, że jest piękna, przynajmniej w moich oczach, miałem pewność, że ją zapamiętam, pomyślałem sobie, że miała tu poprzednią lekcję, ale coś zostawiła, albo że chodzi do pierwszej klasy i dlatego

jej wcześniej nie widziałem. Skuliłem się, zrobiłem jej miejsce w drzwiach, żeby mogła wejść do środka, a ona wślizgnęła się do sali, rzuciła plecak na podłogę, plask, odwróciła się i wyszła, po chwili była znów na podwórzu, jej wysokie buty, stuk, stuk, zastukały na asfalcie, zanim zdążyłem pomyśleć tę myśl do końca:

„Ona chodzi ze mną do klasy.

O kurwa”.

Bo ty też przecież tam byłeś, chodziłeś do klasy z kimś, w kim się zakochałeś, pierwszego czy trzeciego dnia zajęć, a sala stała się nagle taka maleńka, ciasna, i trudno było wysiedzieć w ławce, nie było na czym zawiesić wzroku, bo jeśli spojrzebyś na nią, czy też na niego, wszyscy by się domyślili, a gdybyś odwrócił oczy, odwrócił wzrok, odwrócił spojrzenie, gapił się w ścianę, na tablicę ponad plecami tej osoby, zupełnie jakby była powietrzem, to też by się wszyscy domyślili i na dodatek stwierdzili, że jesteś bezczelny, siedząc tak sobie i udając, że ci nie zależy. Bo tego się nie da ukryć. Jesteś przezroczysty. Jak celofan. I, jak celofan, można cię łatwo rozerwać i zniszczyć.

Odczekałem kilka sekund, rozejrzałem się po sali, gdzie ona będzie siedzieć? Czy powinienem zaryzykować, spróbować się do niej zbliżyć, a może lepiej na jakiś czas się przyzaić? Ona pewnie usiądzie gdzieś daleko z tyłu. Na bank. Postawiłem swój plecak pod jedną z ławek w pierwszych rzędach, wypatrzyłem torbę Jørna pośród innych pod drzwiami, poszedłem po nią i położyłem tuż obok. No i załatwione.

Począpiałem na dwór, zbiegłem po schodach, zeskakując z dwóch ostatnich stopni, i minąłem ludzi z mojej klasy, nikt się do mnie nie odezwał, byli pochłonięci jakąś dyskusją, przeszedłem obok nich niezauważony, odnalazłem Jørna i Roara, siedzieli na ławce, na całym podwórzu pełno było pierwszaków, przycupniętych

na asfalcie w grupkach po dwie, trzy, cztery osoby, kurczowo trzymających się poczucia wspólnoty, starających się wyglądać na fajnych. Niektóre z nowych dziewcząt zerkały ukradkiem na Roara, który uchodził za jednego z najprzystojniejszych w szkole, plotki o nim docierały nawet do innych szkół, miał mnóstwo przyjaciół, ze wszystkimi się kolegował i zdawało się, że nie robi to na nim większego wrażenia, dla Roara nie istniał podział na ważnych i nieważnych, był zadowolony z każdego towarzystwa, o ile tylko ludzie byli porządni i punktualni.

– Pieprzona mżawka – powiedział Jørn, próbując skrócić papierosa, bibułka kleiła mu się co chwila do palców albo warg, na ziemi u jego stóp leżał tytoń, najwyraźniej nie mógł sobie poradzić.

– Mogę? – zapytałem, wskazując na skręta, a on podał mi paczkę, odlepił sobie bibułkę od palców, rozerwał ją i zgniótł w dwie małe kuleczki, którymi pstryknął w krzaki, raz i dwa.

– Orientujesz się może, kto odszedł z naszej klasy? – spytał Jørn.

– Nie – odrzekł Roar. Ja zwijałem papierosa. Byłem w tym dobry, miałem zręczne palce, mimo że sam nie paliłem, poszło mi szybko, przygotowałem dwa ładne skręty odpowiedniej grubości, i tak sobie siedzieliśmy, na mokrej ławce, w drugiej klasie, przed lekcją norweskiego, zabijając czas.

– Chyba Bertine odeszła. Nie jestem pewien, ale ktoś mi to chyba powiedział – oświadczył Jørn.

– Rany – westchnął Roar. – No cóż, trudno było oczekiwać czegoś innego. Wiesz może, gdzie teraz chodzi?

– Pojęcia nie mam.

– A z kim o tym rozmawiałeś?

– Anniken coś wspominała. Nie wiem, skąd o tym wie, nie pytałem jej zresztą – odrzekł Jørn.

– A Anniken też przypadkiem nie miała odejść? Myślałem, że się przenosi do Kongsgård?

– Tak, to prawda – potwierdził Jørn. – Zgadza się. No ale cóż, w każdym razie nadal tu jest.

– Rany – skwitował Roar.

Prawie przestało padać, siąpiła już tylko lekka mżawka, ale wciąż było mokro, rękawy kurtek kleiły nam się do ramion.

– A przyszedł ktoś nowy? – spytał Roar.

– Do naszej klasy?

– Tak.

– Ja nie zauważyłem. Mattias?

– Nie wiem – odparłem, po czym dodałem: – Chyba jest jakaś nowa dziewczyna. Wpadłem na nią, jak odnosiłem plecak do klasy.

– Ładna? – spytał Roar.

Wbiłem wzrok w ziemię, paliło mnie pod kurtką, poczułem się nagle wielki, niezdarny.

– No. Całkiem. Może być.

Spojrzeli wtedy na mnie. Przeciągle. Jørn wydłubywał pasemka tytoniu pomiędzy zębów.

Trzeba uważać, co się mówi. Widziałem ją przecież tylko raz, przez krótką chwilę. Mogłem się mylić. I mogłem też mieć rację. Sugerując, że jest ładna, dałem im do myślenia. Teraz będą musieli sami dokonać oceny, w najgorszej sytuacji będę miał nad nimi krok przewagi. Będą zmuszeni odnieść się do mojej oceny, dokładnie się przyjrzeć, faktycznie jest taka ładna, czy też nie? Z mojej strony to wyrafinowana, rommlowska strategia. Dzwonek obwieścił koniec przerwy, zaczynał się norweski.

Ale my czekaliśmy. Czekaliśmy, nigdzie nie idąc, Jørn dopalił powoli skręta, obserwowaliśmy, jak pierwszaki zrywają się energicznie z ziemi, biorą swoje plecaki i spieszą do środka z kartkami w dłoniach, plany lekcji i mapka wskazująca drogę do sal lekcyjnych. My wiedzieliśmy, gdzie mamy iść, byliśmy tu od dawna, znaliśmy nauczyciela na tyle, by wiedzieć, że zawsze się spóźnia.

Długo już tu służymy, pomyślałem, walczyliśmy w decydujących bitwach, cały rok przedzieraliśmy się przez dżunglę, stąd nasze posępne spojrzenia. A pierwszaki właśnie wylądowały, ładne i czyściutki. *Xin Loi*. Hałas łopat śmigłowca wzbijających ku szczytom palm chmury żółtawego pyłu i papierki po gumie do zucia, a Jørn zdeptał niedopałek i ruszyliśmy do klasy.

Pilnowałem, by iść kilka metrów za Jørnem i Roarem i móc wślizgnąć się do klasy zaraz za nimi, kiedy już będą w środku, rozejrzeć się szybko po sali, sprawdzić, kto doszedł, a przede wszystkim sprawdzić, czy Ona tam jest. Więc się rozejrzałem. A ona była. Siedziała, rzecz jasna, daleko z tyłu, tak jak sobie założyłem, wyglądało na to, że sama, ale po chwili przyszła Anette i usiadła obok niej, zaczęły gawędzić i wyciągać książki, właściwie powinienem się domyślić, że to będzie przyjaciółka Anette. Nic w tym złego. Anette była zdecydowanie jedną z fajniejszych dziewczyn w klasie, a przynajmniej na taką mi wyglądała, bo nigdy z nią nie rozmawiałem. Podszedłem do Jørna, który usiadł tam, gdzie postawiłem jego plecak, zająłem miejsce obok, zacząłem grzebać w plecaku, szukając podręcznika, nie wiem właściwie dlaczego, przecież wiedziałem, gdzie jest, włożyłem go jako numer trzy od środka. Tak było przez wszystkie lata, nosiłem ze sobą wszystkie książki ze strachu, że któreś zapomnę, dorobiłem się przez to krzywych pleców.

Jørn zapomniał piórnika, musiał pożyczyć ode mnie ołówek, albo nie, wolał długopis, na szczęście miałem zapasowy, i wtedy wszedł nauczyciel, wyglądał jak kserówka samego siebie sprzed wakacji, tak samo blady, lecz z ostrzejszymi konturami, ta sama dziewięciodniowa bródka, to samo spojrzenie, i jeśli się nie myliłem – a myliłem się bardzo rzadko – miał na sobie dokładnie to samo ubranie. Położył teczkę na biurku i zapadła cisza, wszyscy czekali, aż westchnie, wypalony, i opadnie na krzesło. Tymczasem

nauczyciel Holgersen, nasz podstarzały Holgersen, uśmiechnął się, posłał nam uśmiech. I powitał nas w nowym roku szkolnym.

A potem zaczął mówić, i dowiedzieliśmy się wszystkiego, co powinniśmy wiedzieć o twórczości Daga Solstada, o nauczycielach, którym przez te wszystkie lata było bardzo ciężko, o wojnie, zdradzie i decydującym referendum w sprawie EWG, o tych, którzy nie poddali się do końca, ja zaś siedziałem w jednym z rzędów z przodu, próbowałem jak zawsze notować, ale kark mnie palił, szczypał i nie byłem w stanie się skupić, było tak gorąco, musiałem położyć sobie dłoń na potylicy, a Jørn na mnie spojrział, odwrócił się, by zobaczyć, czy ktoś we mnie przypadkiem czymś nie rzucił, lecz nic takiego się nie stało, ja zaś wbiłem wzrok w blat ławki przede mną, wiedziałem, że gdzieś tam z tyłu sali siedzi człowiek, którego jeszcze nie znałem, który z jakiegoś powodu przeniósł się do mojej klasy i zagroził nagle mojemu anonimowemu bytowi. A sala, odkąd ona do niej weszła, skurczyła się i stała taka ciasna.

Na wszystkich przerwach do końca dnia łąziłem jak zazwyczaj bez celu albo siadałem z Jørnem i Roarem na ławce pod zadaniem, Jørn opowiadał coś o swoim bracie, Roar coś mu opowiadał, nie słuchałem ich, siedziałem przyczajony jak snajper, czekając, aż ona wyjdzie na dwór, i w końcu ją widziałem, wychodziła na każdej przerwie, zawsze trochę później niż inni, stawała w kręgu dziewczyn z klasy C, na samym środku placu, pod koszem do koszykówki, najwyraźniej znała się już wcześniej z niektórymi z nich, był to jedyny powód jej przenosin do naszej szkoły, który na szybko przychodził mi do głowy. Powszechnie znany był także fakt, że do Hetland szło się z innego ważnego powodu. Hetland, w tamtych czasach, w odróżnieniu od Kongsgård, St. Olav, i może także St. Svithun, było szkołą, do której się zdawało, jeśli nie chciało się wypruwać sobie żył przez kolejne trzy lata, jeśli było się już trochę zmęczonym zakuwaniem. Wieść gminna

niosła się daleko i głosiła, że Hetland to liceum, do którego idą uczniowie przeciętni, tacy, co to ściągają na testach, potrafią zapisać na egzamin, przychodzą dopiero na trzecią lekcję, wychodzą przed końcem zajęć, oddają prace za późno albo nie wiedzą, co za tych kilka lat napiszą w podaniu o przyjęcie na uniwersytet. Osobiście widziałbym siebie raczej w Kongsgård, szkole katedralnej w Stavanger, albo może w St. Olav, byłem pilnym uczniem, odrabiałem lekcje, uczyłem się do klasówek, notowałem, byłem przygotowany, próbowałem sunąć przez szkolną rzeczywistość, ale się nie ślizgać, nikomu nie zawadzałem, nie chciałem przeszkadzać, chciałem być w porządku, być łatwym w obejściu, i dlatego też wylądowałem w Hetland, bo tu chciał się uczyć Jørn, twierdził, że to tu się dzieją ciekawe rzeczy, bo działa tu szkolny teatr, Teatr Munin, był bardziej undergroundowy niż stuletni Idun w Kongsgård i dlatego też ciekawszy. Bardziej progresywny. Jørn lubił teatr, uwielbiał stać na scenie, być w pierwszym rzędzie, Jørn chciał, by go dostrzegano, kochano lub nienawidzono, trudno powiedzieć, co bardziej, i rzecz jasna wstąpił do teatru, potem dołączył do niego Roar, który wziął się do scenografii, Jørn dostał rolę, ale nie tę, o której marzył, nie rolę główną, bo tej nie dostał nigdy, ale jedną z pomniejszych, cztery kwestie w drugim akcie przedstawienia *A może by tak Rewia?* w lutym osiemdziesiąt sześć. Nie zdołałem kupić biletów na premierę, które rozeszły się na pniu wśród zapaleńców rozpychających się łokciami w kolejce do drzwi teatru jeszcze w styczniu tego samego roku. Zamiast tego poczekałem, aż przedstawienie ruszy na dobre, i pewnego środowego wieczora w połowie lutego pojechałem do Hetland autobusem, z biletami w garści, głową otuloną kapturem puchowej kurtki, wydeptałem ślad w śniegu, idąc do sali gimnastycznej, bo to tam wszystko się działo, to tam, w głębi sali gimnastycznej, za wielką kurtyną, na podwyższeniu, mieściła się scena. Znalazłem swoje krzesło, poprosiłem o miejsce na środku sali, siedziałem tam w kurtce, grały mnie ogromne reflektory zawieszane pod

sufitem, i czekałem, aż zacznie się *A może by tak Rewia?* Nie był to do końca teatr z prawdziwego zdarzenia, Jørn wyuczył się dobrze swoich kwestii, choć wygłosił je trochę za cicho i trochę się jąkał, a jedna ze ścianek zbudowanych przez Roara trochę się chwiała i wibrowała za każdym razem, gdy ktoś mocniej tupnął. Ale niezależnie od tego była to rewia, a ja tam siedziałem, otoczony przez wiwatujących, roześmianych ludzi, których nie znałem, lecz z którymi stanowiłem w pewnym sensie jakąś doraźną wspólnotę, w ciemnościach, śmiałyśmy się, szturchaliśmy nawzajem, słuchając dosadnych żartów i prześmiewczych piosenek, a gdy przedstawienie dobiegło końca, rozeszliśmy się, każde w swoją stronę, ja wróciłem do swoich spraw, a reszta sali – do swoich, a już następnego dnia pojąłem, że Jørn zyskał sobie całkiem sporą popularność, tyle mu tylko było trzeba. Cztery niezłe kwestie. Zaczęli podchodzić do nas na przerwach ludzie, ludzie, którzy chcieli rozmawiać z Jørnem, albo z Roarem, jeśli Jørn był akurat zajęty. Zawsze w takich sytuacjach odsuwałem się, krok na bok, krok do tyłu, robiłem w kręgu miejsce dla nowych ludzi, zastanawiałem się, czy mam coś do powiedzenia, ale nigdy prawie nie miałem, sam nie wiem, lubiłem tam po prostu stać i słuchać, lubiłem być obserwatorem, udawać, że nie istnieję, jakbym był niewidzialny, i dzięki temu nikt oprócz Jørna i Roara się też do mnie nie odzywał, nikt nawet nie patrzył w moim kierunku. A mnie to odpowiadało. Byłem tam, gdzie zawsze. Miałem kontrolę.

Ale gdzieś tam głęboko w samym środku jakaś część mnie chciała, bym to ja, wielka zębátka, mógł cieszyć się całą uwagą, jaką ten świat miał do zaoferowania. Tylko jeden, jedyny raz.

Wsiadłem po lekcjach w autobus jadący do centrum, potem poszedłem po rower przypięty do statywu przed Romsøegården i popedałowałem w kierunku Storhaug. Tak to zazwyczaj robiłem, jechałem rowerem z Kampen do centrum, przypinałem rower do

statywu i wsiadałem w autobus do szkoły Hetland, a potem to samo, tylko w odwrotnej kolejności, w drodze do domu. Za wyjątkiem śród, bo w środy miałem lekcje u pani Haug. Pani Haug była nauczycielką śpiewu, udzielała prywatnych lekcji w swoim mieszkaniu na Nymannsveien, nienawidziła ludzi przychodzących za późno lub za wcześnie, ale kochała chłopców, którzy śpiewali czysto, byli porządnie ubrani i, w jej oczach, nowocześni.

Do śpiewu zachęcił mnie na samym początku nie kto inny jak Alexander L. Kielland. Ale nie pisarz, bo on nigdy mnie szczególnie nie interesował, nie wyniosłem wiele z lektury *Truczny*, nie byłem w stanie zrozumieć fascynacji naszego nauczyciela *Garmanem & Worsem* i przyczajonymi w oknach zgorzkniałymi pietystami.

Chodzi mi o nazwaną na jego cześć platformę, pamiętasz ją? Wszystko się stało w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, dwudziestego siódmego marca, na polu Ekofisk na Morzu Północnym, o wpół do siódmej wieczorem, pamiętasz? Jedna z nóg platformy Alexander L. Kielland poddała się działaniu wiatru i wysokim falom, poziome poprzeczki pękły ze starości albo na skutek eksplozji, jedna z pięciu nóg została wyrwana, Alexander L. Kielland się przechylił, nie minęło pół minuty, a platforma uzyskała przechył czterdziestu stopni na jedną z burt, zanurzając się przy tym w morzu, niecałe dwanaście minut później świat stanął na głowie, wieża wiertnicza zaryła o dno, a najtragiczniejsza katastrofa w historii przemysłu offshore stała się faktem. Stavanger zamarło na lądzie, Stavanger wstrzymało oddech, ale na nic to się zdało, bo tylko osiemdziesiąt osiem z dwustu jedenastu osób się wydostało, wróciło do domów, sto dwadzieścia trzy ludzkie istnienia zniknęły w wodzie, zgniecione, zamknięte w lokalach kina, zagubione w chaosie i egipskich ciemnościach, zaledwie dwanaście krótkich minut dzieliło dzień zwykły od najgorszego w historii, a cisza, która tej wiosny zapadła

nad miastem, była taka monumentalna, niemal każdy znał kogoś, kto był na pokładzie, lub miał na pokładzie kogoś bliskiego, ale nikt nie miał pojęcia, co takim ludziom mówić, a czas płynął, platforma została odwrócona, ale nie znaleziono wszystkich, nawet po upływie trzech lat, niektórzy przepadli na zawsze i znów nadeszły ciepłe miesiące, rok osiemdziesiąty trzeci. Jørn dał mi pierwszy w historii prezent urodzinowy, z wyraźną dumą podał mi pieczołowicie opakowaną, płaską paczkę, stał w salonie z szerokim uśmiechem, a ja zdarłem papier i już po kilku sekundach trzymałem w dłoniach płytę LP, Mods – *Amerika*. Miałem trzynastcie lat i liczyli się tylko Mods, dla mnie i dla całego miasta, nie podlegało to żadnej dyskusji, na tym zaś albumie, drugim z kolei w ich karierze, był utwór pod tytułem *Alexander*, dość ponury kawałek, z tekstem, który uznałem za, łagodnie rzecz ujmując, dość głupawy, myślałem, że piosenka jest o chłopaku, który uciekł z domu, i o jakimś rodzinnym konflikcie, nie widziałem związku, zanim nie zwrócił mi na to uwagi Jørn, siedzieliśmy u niego w domu i słuchaliśmy płyty po raz trzeci tego popołudnia, ja zaś wygłaszałem tyradę na temat tego, że to zdecydowanie najślabszy kawałek na perfekcyjnym poza tym albumie.

– Ależ posłuchaj tylko – rzuciłem i zaśpiewałem, parodiując głos wokalisty: – „Och Alexandrze, czemu zawiodłeś mnie?”, albo to: „Stracony brat – rana, co nie zabiłni się”. Żenada!

– Oni śpiewają o platformie – powiedział Jørn.

– Co?

– No tak, w tej piosence, *Alexander*. Chodzi o katastrofę Alexandra Kiellanda. To on zawiódł. Śpiewając „Och Alexandrze, czemu zawiodłeś mnie?”, mają na myśli tę nogę, która się złamała i wyrzuciła całą platformę.

– Myślałem, że chodzi o jakiegoś brata.

– To tylko taki obraz. Metafora, czy jak to się tam nazywa. Ta platforma była jak brat dla Stavanger, nie? Jak się nad tym zastanowić, to właściwie cholernie dobre porównanie. Jeśli chcesz

kiedys śpiewać w zespole, pisać piosenki i tak dalej, to musisz umieć mówić obrazami.

– Czemu sądzisz, że chciałbym to robić?

– Śpiewać w zespole?

– No?

– Ja nic nie sądzę, mówię tylko, jak jest, że jeśli chcesz śpiewać w zespole, to musisz umieć to robić tak, jak oni.

– Nie mam zamiaru śpiewać w zespole.

– No dobra, ale jakbyś kiedyś chciał.

I tak właśnie zacząłem śpiewać. *Alexander*. Śpiewałem ten kawałek w kółko, od początku, od końca i od środka, wyobrażając sobie, jak ratuję nieszczęsnych robotników z morskich odmętów. Ale nie pisałem piosenek i nie śpiewałem przed publicznością. Wyśpiewywałem wszystkie albumy Modsów, kiedy byłem sam, a byłem sam prawie zawsze, znałem na pamięć teksty i to, jak interpretował je Morten Abel, zdzierając płytę, aż moja matka pewnego dnia stwierdziła, że powinienem nauczyć się porządnie śpiewać, a może po prostu miała już po dziurki w nosie tych samych piosenek. Ani ona, ani ojciec nie stawiali żadnych wymagań w związku z moim śpiewem, cieszyli się po prostu, że mam co robić. Zachorowałem, po czym zacząłem dochodzić do siebie, i pewnego dnia matka usiadła na skraju mojego łóżka, miała przyjaciółkę z dawnych lat, a ona z kolei miała przyjaciółkę, która uczyła śpiewu, i tak zostało postanowione, że będę u niej spędzał kilka godzin tygodniowo, była podobno bardzo dobra, wykształciła mnóstwo dzieciaków, a jej mąż miał do tego kontakty w branży fonograficznej, załatwił nam używane w masteringu nagrania akompaniamentu do kawałków Duran Duran, a później a-ha, i to do nich śpiewałem, w kółko i bez przerwy, a pani Haug wygłaszała wykłady o śpiewaniu przeponą, uczyła mnie, jak robić tak jak oni, wyciągać najwyższe dźwięki, te, które – jak to określała – leżały na górnych półkach. Nie miałem nic przeciwko temu,

wolnego czasu mi nie brakowało, więc przez cztery lata chadzałem co tydzień do pani Haug, aż Modsi wyszli z mody, aż Duran Duran właściwie zniknęli ze sceny, a a-ha mieli się zaraz rozpaść. Ale nigdy nie śpiewałem dla innych. Przestałem właściwie też śpiewać w domu, robiłem to tylko raz w tygodniu, za zamkniętymi drzwiami, za grubymi murami mieszkania w Storhaug, koncerty dawałem wyłącznie państwu Haugom, mogłem liczyć na ich uśmiechnięte twarze i klaszczące dłonie, które na końcu kładzono mi na głowie, a potem znów było klaskanie, na stół wjeżdżała kawa i ciastka, a pan Haug znikał czasami ze swoją walizką kabinową, kiedy zaś wracał, zawsze mi coś przywoził, autografy członków zespołów, z którymi miał kontakt, podpisane pałki perkusyjne, płyty albo opaski na głowę. Dziękowałem, kłaniałem się i przyjmowałem prezenty, a po powrocie do domu wrzucałem je zawsze do pudła, wciskałem je w głąb szafy i o nich zapominałem. I ani słowem nie zdradziłem Jørnowi, czym się zajmuję.



Tego dnia popedałowałem po lekcji na Pedersgata, pomknąłem przez miasto i wjechałem na wzgórze Kampen, skręciłem w Seehusensgate. Nie dostrzegłem w garażu auta, byłem w domu sam, na kuchennym stole czekała na mnie kartka z informacją, że obiad jest w lodówce, mogłem go podgrzać w mikrofalach, matka prosto z biura pojechała na basen, a ojciec zawsze pracował do późna, sumiennie wywiązywał się z obowiązków, było tak, odkąd pamiętam, moi rodzice to ostrożni, sumienni ludzie.

Matka była zatrudniona w urzędzie do spraw ochrony praw dziecka. Pilnowała, by maluchom nie działa się krzywda. Miała kilka przyjaciółek z dzieciństwa, z którymi dwa razy w tygodniu chodziła na basen, do Hetlandshallen. Trenowały pływanie